

# **MAŁY**

# **KOTECZEK**

...2019...

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabrania się zmieniania, kopiowania i w jakikolwiek inny sposób wykorzystywania niniejszego utworu bez pisemnej zgody autora**

## **Wstęp**

Marcin był moim przyjacielem, wcześniej także i szefem. Dużo od niego się nauczyłem. Był znakomitym znawcą ludzkiej natury. Miał fenomenalną, wręcz fotograficzną pamięć do szczegółów wielu spraw, które prowadziliśmy w wydziale.

Wielokrotnie zdarzało się, że gdy jakieś śledztwo stawało w martwym punkcie, dzięki jego zdolnościom do kojarzenia, analizowania i odtwarzania szczegółów można było nadać naszym działaniom nowej dynamiki.

Marcin posiadał także umiejętność syntezy. Ileż to razy bądź to łączył wątki z różnych, wydawało się odrębnych spraw w jedną, bądź też z niezależnych śledztw umiał przejść na wyższy poziom i traktować dane przestępstwa jako seryjne.

Pytałem go o te umiejętności wielokrotnie, a on bezradnie, jak dziecko rozkładał ręce i mówił o tym jak o darze niebios, nie umiając tego w żaden racjonalny sposób wyjaśnić.

Któregoś razu siedząc u niego na werandzie wspominaliśmy historię o małym czarnym kotku z białymi bucikami na łapkach oraz z cudownym białym krawatem. Jego rodzice byli ostatnimi właścicielami zwierzątka. W tym wątku miałem i ja swój udział, a sprawę pamiętam do tej pory ze szczegółami, mimo upływu wielu lat. Oto jak to wyglądało...

### **1.**

Pewnego wiosennego popołudnia po miejskim parku spacerowała Małgorzata ze dwójką swoich dzieci: Maćkiem i Przemkiem. Maciek miał w tym roku iść do pierwszej klasy, Przemek szedł do przedszkola. Niedługo kończył trzy lata.

Od gwiazdki, gdy od dziadków Przemek dostał kota zabawkę w skali 1:1 zarówno on jak i Maciek stali się wielkimi miłośnikami tego gatunku zwierząt. Od tego czasu wiercili dziury w brzuchach najbliższym, by ci spełnili ich marzenia.. Rodzina znosiła to z coraz większą irytacją.

Nieraz Małgorzata ze swym mężem Mateuszem prowadzili długo trwające nocne dyskusje na temat posiadania zwierzęcia w domu. Niejednokrotnie zdarzało się, że gdy kładli się spać, późnym wieczorem, odbierali telefony od rodziców, którzy przekonywali ich do posiadania zwierzątka.

Intencji można było się tylko domyślać, gdyż nie wiadomo było, czy te naciski i sugestie związane były z wynikami badań naukowych potwierdzających fakt zbawienego

### **2**

wpływu zwierząt domowych na harmonijny rozwój psychiki u dzieci czy przesłanką sugerowania posiadania zwierzęcia był fakt zmęczenia materiału u dziadków, którzy woleli mniejsze wnuki, a gdy one dorastały, chętnie zajęcia z wnukami na scedowaliby na innych...

Chłopcy bawili się na placu zabaw. Maciek chodził po konstrukcji ze sznurka, a Przemek wraz z mamą jeździli stojącą w miejscu ciuchcią. Nagle nie wiadomo skąd, tuż obok nic pojawił się mały kotek.

Wyglądał jak jedno wielkie nieszczęście. Cały umorusany i podrapany z licznymi resztkami jakichś traw, liści, gałązek. Był jednym wielkim lękiem. Trząsał się i miauczał przy tym bardzo głośno, jakby chciał powiedzieć: ratujcie mnie, jest mi tak bardzo źle....

## 2.

Małgosi i Przemkowi zrobiło się bardzo żal tego małego i bezbronnego zwierzątka. Przemek błagalnym wzrokiem spojrział na mamę. Odczytała ten przekaz bez słów. Starła się przywołać kotka. Gdy podszedł, wzięła go na ręce i zaczęła czule głaskać. Był chudy i poturbowany. Do głaskania dołączył się Maciek. Kociak mruczał zadowolony.

Wieczorem poszli do weterynarza, który go, opatrzył otarcia, odrobaczył. Powiedział, że jego zdaniem kociak ma około trzech - czterech miesięcy. Po powrocie rodzinka usiadła na podłodze w największym pokoju. Wybierali imiona dla kotka. Ostatecznie, ze względu na jego mruczenie przy pojawieniu się w domu, otrzymał imię Mruczek.

Synowie byli podekscytowani i szczęśliwi. Starszy dużo czytał o kotach w sieci. Zaaferowany przychodził do rodziców, mówiąc o tym, czego się dowiedział, pokazywał filmiki z YouTube o dbaniu o koty i o ich wychowywaniu.

Zakupiono szybko niezbędne akcesoria: klatkę transportową, kuwetę, poślanie, zabawki. Mały kociak powoli stawał się najważniejszym członkiem rodziny. Dorastał szybko, zarówno rodzice jak i dzieci stali się jego zagorzałymi fanami. Zapatrzeni w to czarne i urocze zwierzątko, z białymi końcówkami łapek i białym niemal idealnym krawatem. Po powrocie z pracy, szkoły czy przedszkola głównym tematem było to, co dziś robił Mruczek.

A kociak stawał się kocurem. Uwielbiał zasypać w nogach bądź to dzieci, bądź to rodziców. Mijały dzień za dniem. Nadeszła kolejna gwiazdka. Chłopcy z utęsknieniem wyczekiwali na to, co kot powie w noc wigilijną. A widzieli, że zwierzęta w tę noc, raz do

roku mówią ludzkim głosem. Ku zasmuceniu chłopców - kot milczał.

### 3.

Po świętach napadało dużo śniegu. Mateusz z żoną zdecydowali się wyjechać z dziećmi i rodzicami Małgorzaty w góry na narty.

Wypożyczyli dużego busa. Dwie rodziniki zapakowały się bez trudu. Prowadził pan domu. Z głośników sączyła się spokojna muzyka. Kierowca ustawił temperaturę na dwadzieścia stopni. Wszyscy mieli dobre humory. Jechali w swe ulubione góry. Wszyscy, za wyjątkiem najmłodszego Przemka jeździli na nartach. Nie zdążyli wyjechać poza granice miasta, gdy w kabinie doszło do zdarzenia, które doprowadziło do niespodziewanej akcji... W pewnym momencie, nie wiedząc czemu Mruczek dostał szału. Wyskoczył ze swego transportera i dał susa w kierunku kierowcy. Miało się wrażenie, że goni jakąś mysz. Małgosia próbowała odciągnąć go od męża. Odpięła pasy bezpieczeństwa, by móc złapać oszalałego kota. W tym momencie kot rzucił się do twarzy kierowcy. Pazurami podrapał ją niemiłosiernie. Prowadzący starał się jedną ręką zdjąć kota z twarzy, a drugą - prowadzić busa. Małgorzata krzyknęła tylko:

- Uważaj, hamuj. Mateusz starał się wykonać to, powiedziała żona. Niewiele jednak widział. Kot zdawał się być tworem idealnie przylegającym brzuszkiem do twarzy kierowcy. Odruchowo skręcił kierowcą, odbijając w prawo. Stało się to w momencie, gdy znajdowali się w najwyższym punkcie estakady. Busik przeciął linie boczną jezdni, przebił bariery ochronne i spadł w dół. Było to miejsce widoczne jadącym, acz trudno dostępne od strony głównej arterii. Spadający wrak sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w tumanie kurzu.

Zanim przyjechała straż, znad wraku zaczął unosić się początkowo słup dymu, który stawał się coraz intensywniejszy, a po chwili dało się słyszeć wybuch. Pojawił się wysoki płomień. Na miejscu zdarzenia ratownicy z żyjących dostrzegli jedynie małego czarnego kotka.

Wyglądał jak jedna mała, piszcząca kupka nieszczęść. Był cały wybrudzony, umorusany i podrapany. Jego miauczenie było bardzo donośne. Może chciał przez to powiedzieć: ratujcie mnie, tak wiele przeżyłem. Widać było, że utyka na przednią łapkę.

Krzysztof – strażak, szef ekipy wozu dostrzegł małego. Od dawna w domu potrzebowali zwierzątka. Odkąd ze starości zdechł ich ulubiony wiekowy kot o imieniu Fred, myśleli o podobnym zwierzęciu, które towarzyszyłby jemu i żonie w przeżywaniu syndromu opuszczonego gniazda...

### 4

Basia – żona Krzysztofa była kotem oczarowana. Szczególnie dużo dawały jej do myślenia okoliczności jego znalezienia. Siedząc w kolejce u weterynarza zastanawiała się nad jego pogmatwanym i trudnym losem:

- Biedactwo - myślała gładząc sierść kociego maleństwa w oczekiwaniu na wizytę.
- Tyle przeżył, to straszne, może stracił całą rodzinę opiekunów.

Wizyta trwała nieco dłużej niż standardowo. Kotek został dokładnie zbadany i starannie zaopiekowany. Czas płynął, a kot – jak to kot dorastał. Jego łapki stały się silniejsze, buciki - mocno zaznaczone, a krawat – wydawał się dominującą częścią garderoby. Kocur zdawał się z nim dystyngowanie obnosić po ogródku, który zaanektował.

Niedzielny Wielkanocny poranek był lekko mglisty. Powoli zza linii drzew wstawało słońce. Przeświecało smugami przez zasadzony szpaler dorodnych już drzew. W salonie zgromadzili się jego najbliżsi na śniadanie wielkanocne. Do jego środka wpadały coraz liczniejsze promienie słońca, lekko poruszające się, gdy puste o tej porze roku korony drzew poruszane były przez lekkie powiewy wiatru.

Domownicy i goście wesoło rozmawiali, szczególnie, że najstarsza córka Krzysztofa i Basi poinformowała ich, że pod koniec roku zostaną dziadkami.

Jak napisano w protokołach „około 10.45 miał wybuch gazu”. To co wtedy mnie nurtowało, zarówno gdy przyjechałem na miejsce, jak i później, gdy przekazywałem dokumentację do prokuratury to pytanie: jak było to możliwe, aby wybuch miał miejsce w domu tak doświadczonego strażaka zawodowego...

Kilka domów dalej u Aliny i Wojtka, wybuch omal nie doprowadził do wypadnięcia okien z futryn. Także u nich celebrowano śniadanie wielkanocne. Po usłyszeniu wybuchu goście odeszli od stołu i wybiegli przestraszeni. Zapewne to któryś z nich wezwał straź. Po akcji strażacy zapukali do domu ponownie. Alina i Wojtek byli bardzo pomocni strażakom podczas akcji. W końcu dom, w którym wybuchł gaz należał do bliskich przyjaciół.

Na miejscu wybuchu ratownicy dostrzegli małego czarnego kotka. Zwinięty w kłębek miauczał i trzął się mocno. Wybrudzony, zakrwawiony, z upalonym futerkiem. Ponieważ Alina z mężem należeli do kategorii psiarzy, przekazali kota swojej wieloletniej znajomej Zofii.

Pani Zofia mieszkała – jak mawiali jej sąsiedzi „w tym bloku od zawsze”. Była najstarszą jego mieszkanką. Angażowała się mocno w pomoc potrzebującym, uczęszczała na zajęcia Uniwersytetu III wieku. Lubiła malować oraz lubiła koty. Miała starego kocura, który ledwo powłóczył nogami. Pani Zofia jako bezgraniczna miłośniczka zwierząt przekarmiła go tak, że kot z ledwością zeskakiwał ze swego miejsca na fotelu. Fotel na

którym siadywał kocur mógł walczyć z panią Zofią o palmę pierwszeństwa pod względem wieku metrykalnego.

Zawsze uśmiechnięta, zadbana, od kilku sezonów z nieodłączną laseczką, sympatyczna pani, której nie można było nie-lubić. Miała dwójkę dzieci, czwórkę wnuków i jednego prawnuka. Co z tego, że rodzina na papierze prezentowała się okazale. Syn z rodziną mieszkali w Australii, a córka – dla odmiany w Kanadzie. Pani Zofia – prawie w pół drogi. Dzięki środkom technicznym mogła codziennie być w jednym bądź w drugim domu. Żałowała, że nie wymyślono jeszcze skutecznego sposobu teleportacji, bo – jak sama mówiła – w jej wieku „te długie podróże są nie do zniesienia”. Dzieci z rodzinami pojawiały się u niej statystycznie raz do roku. Wtedy szczęścia, radości i zadowolenia oraz rozmów było co niemiara. Ładowało to jej akumulator na czas do kolejnego najazdu Hunów – jak nazywała przyjazd rodziny. I właśnie to pani Zofia obdarowana została kocim maleństwem. Bezbronnym, po przejściach, takim miłym, opuszczonym, czarnym z białymi skarpetkami i takim samym krawatem. W kilka dni po pojawianiu się maluszka zdechł jej stary kocur, który wabił się Cesarz. Jego cesarska mość zasnęła snem wiecznym na swoim równie wiecznym fotelu. Żalobę po nim pomagał jej przeżywać ten malutki, uroczy kotek. Bawiła się z nim motkiem włóczki, kupiła mu maskotki myszy do nauki polowania, poznawała Księcia – bo takie imię mu nadała ze swoimi znajomymi, które przychodziły do niej w odwiedziny a także by pomóc w bardziej wymagających pracach domowych.

Któregoś dnia, a było to – jak napisano w raporcie - „na początku tygodnia” - poczuła się źle. Najprawdopodobniej przyczyniły się do tego panujące upały. Z raportu patomorfologa wynikało, że straciwszy przytomność uderzyła się częścią potyliczną głowy w mały sekretarzyk i upadła na podłogę. Pech chciał, że do czwartku nikt do niej nie przyszedł. Gdy dzwoniła sąsiadka z klatki, nie mogła się dodzwonić do pani Zofii. Zadzwoiła do jej dzieci – nie odbierały. Napisała e-maila. Po dniu otrzymała odpowiedź, że cała rodzina spędza egzotyczne wakacje w miejscu, w którym jest kiepski zasięg sieci. Z e-maila, który otrzymała dowiedziała się, że dzieci – właśnie z tego powodu nie miały kontaktu z matką od kilku dni. Została poproszona o sprawdzenie co dzieje się z matką. Ponieważ kilkakrotnie pukała do mieszkania, a zamek był zablokowany przez włożony od wewnątrz klucz – nie mogła się tam dostać. Zadzwoiła pod numer alarmowy. Przyjechały służby, a ona przeczuwała, że coś będzie nie tak. Po wyważeniu drzwi okazało się, że starsza pani nie żyje. Zdjęcia z miejsca zdarzenia pokazywały, że po uderzeniu próbowała jakoś wezwać pomoc - doczołgać się do telefonu, który leżał na kanapie. Krwawienie i uszkodzenie nogi było jednak zbyt silne. Zdjęcia pokazywały

jeszcze jedno: wyjedzone miękkie tkanki twarzy: oczy, nos, policzki oraz dużą ilość czerwi i much. Ciało znajdowało się w stanie zaawansowanego rozkładu. Po wyważeniu drzwi z mieszkania wraz z silnym fetorem wybiegł wystraszony kotek. Ponieważ drzwi na klatkę były otwarte, uciekł - i tyle go widziano. Opisano go jako pięknego małego czarnego kotka z białymi skarpetami oraz krawatem.

- Moi rodzice – mówił Marcin znani byli z dokarmiania bezpańskich kotów na osiedlu domków jednorodzinnych, na którym mieszkali. I oto któregoś dnia pojawił się u nich mały wygłodzony czarny, no prawie czarny kotek. Zaopiekowali się nim troskliwie. Nazwali go nie wiedzieć czemu – Korsarz.

Starąłem się odwiedzać ich najczęściej jak mogłem. Tylko jak często mogłem? Ciągła robota – taki standard w dochodzeniówce. Dlatego, a może tylko tak to sobie tłumaczyłem, moja żona któregoś dnia zabrała dzieci i opuściła mnie. Po kilku tygodniach pocztą dostałem pozew rozwodowy. Myślę, że Monika – bo tak miała na imię moja żona i tak była bardzo wytrzymała. Piętnaście lat z mężem i ojcem, który chyba jednak na pierwszym miejscu postawił pracę, nie rodzinę, to niezły wynik.

Może dzięki temu, że nie bywałem u rodziców codziennie, to lepiej i wyraźniej dostrzegałem, że zaczęli gwałtownie podupadać na zdrowiu. Zastanawiałem się, czy gdybym widział ich codziennie, nie byłoby mi źlej. Czemu źlej? Bo nie dostrzegałbym tak wyraźnie jak zmieniły się ich rysy. Wyostrzona skóra zaczęła być matowa, coraz bledsza. Ojcu i matce pogorszyły się wyniki, mieli ogromne kłopoty ze snem. Przestał dopisywać im apetyt. Lekarze z otwartością mówili: nie wiemy czy i co wam jest. Przygotowałem się już na najgorsze. Oczy zaczęły się zapadać, stawały się matowe i bez wyrazu.

Lubię albumy ze zdjęciami. Te tradycyjne, żadne oglądanie po tabletach, komputerach czy smartfonach. Gdy miałem chwilę czasu usiadłem wreszcie przed komputerem i zacząłem tworzyć foto-książkę, którą potem już wydrukowaną odbierałem w jednym z punktów foto. Ponieważ były tam zdjęcia moje i rodziców, wprowadziłem ilość dwóch egzemplarzy.

Jak zazwyczaj, gdy już wszystko było gotowe, jeszcze raz dokonałem sprawdzenia foto-książki. Tak zrobiłem i teraz. I wtedy to zauważyłem. Dopiero po tylu latach – ty durniu – pomyślałem budując tym samym nieadekwatne poczucie sprawstwa i wysokiej własnej wartości Tak, to zdjęcie! Moi rodzice obok siebie w ogródku, na huśtawce pod daszkiem słonecznym, a na ich kolanach kot. Ten kot, bo ile kotów ma białe buty i gustowny krawat na swym futerku? Pięć, tak pięć spraw przyszło mi do głowy. Piec niewyjaśnionych śmierci kilkunastu osób i ten kot przewijający się w opisach.

Pomimo zmęczenia nie mogłem już zasnąć. Pojechałem do biura. Zacząłem czytać i wynotowywać informacje o kocie. Wszystko się zgadzało. Na zdjęciach był najprawdopodobniej ten sam kot. Zadzwoiłem do ciebie Marku.

- Tak, tak dokładnie było – odpowiedziałem, poprosiłeś mnie o pomoc. Mimo mego zmęczenia wiedziałem, że w takiej sytuacji tobie, jako szefowi się nie odmawia.

Marcin uśmiechnął się i zaciągnął fajkę, którą trzymał w zębach. Dziś zwróciło to moją uwagę, że z profilu miał coś podobnego do pewnego bohatera kryminałów, który mieszkał w Londynie, przy ulicy Baker Street pod numerem 221B.

- Wtedy, gdy w nocy przyjechałem do biura zrelacjonowałeś mi sprawę, przekazałeś wnioski i spytałeś, co o tym myślę. Odpowiedziałem że podzielam twój niepokój. Pamiętam, jak drżącymi rękoma wybierałeś numer do rodziców. Pierwszy raz zobaczyłem Cię w takim stanie emocjonalnym.

- Masz rację Marku – powiedział Marcin. Telefon odebrała zaskoczona matka. Wcale się jej nie dziwiłem. Telefon od kogokolwiek o tej porze mógł wywołać takie uczucia. Poprosiłem, a starałem się to robić maksymalnie spokojnym głosem o obudzenie ojca. Rzeczowo, jak na odprawie przedstawiłem fakty. Poprosiłem także – jakoś intuicyjnie, nie wiedziałem w tym momencie, czemu to robię o zamknięcie drzwi do pokoju kota i dopilnowanie, by pozamykane były także okna. Ojciec, nieco zaspany, acz na tę porę wyjątkowo przytomnym głosem poinformował mnie, że względu na niskie temperatury okna są już zamykane. Odetchnąłem z ulgą.

Bez słów wsiedliśmy do samochodu. Każdy z nas pobrał dodatkowe magazynki. Jechaliśmy na jedyną w swoim rodzaju akcję. Tętno rosło wraz ze zbliżaniem się do domu rodziców Marcina.

Marcin kontynuował swą opowieść:

- Gdy dotarliśmy do domu, w przedpokoju spotkaliśmy ich przerażonych. Mówili rwanymi zdaniami, jedno przez drugie o tym, co się stało. Powodem ich strachu było zachowanie ich ukochanego kota Korsarza. Mówili, że chyba zwariował. Od kilkunastu minut, chwilę potem jak go zamknęli zaczął strasznie miauczeć, najprawdopodobniej rzucał się po całym pokoju objając się o ściany i drzwi. Na szczęście framugi wytrzymały, gdyż rodzice wstawili je bardzo solidne. Trwało to już jakiś czas, chyba od momentu, gdy zdecydowaliśmy się przyjechać. Czyżby istniało coś takiego jak kocia intuicja? A może kocio-patia? Nie było czasu na takie rozważania.

- Tak, - powiedział Marek, to ty wtedy wszedłeś do pokoju z kotem jako pierwszy. Ja Cię asekurowałem. Jak uzgodniliśmy, moim zadaniem było także nie dopuścić do ucieczki



kota. Kątem oka zauważyłem, że wtedy, patrząc na kota przez ułamek sekundy stanąłeś oniemiały. Chyba nie mogłem się dziwić temu. To co dostrzegłem i mnie wprawiało w ten sam stan. Pokój był zdemolowany, a znajdujące się w nim solidne meble całkowicie zniszczone. Tylko jak taki mały, spokojny kotek mógł to zrobić...

- No tak, wtedy twe rozważania przerwał rozwój sytuacji – powiedział Marcin. Kot spojrział się na mnie i rzucił się w moją stronę wydając nieludzki – i niekoci ryk. To już nie był ten miły, mały, kochany kotek. W tym momencie był to kocur podejmujący walkę na śmierć i życie. Chyba przeczuwał, co zaraz nastąpi. Wył coraz głośniejsze. Przez ten jazgot przebijały odgłosy kolejnych strzałów. Kot zwałił się tuż pod moimi nogami, rozrywając pazurami prawą nogawkę spodni, a były to grube jeansy. Padł i dygotał konwulsyjnie. Z jego zmierzwionego futra wypływała krew. Coś nam tu nie pasowało. Pamiętasz? Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni. Krew była czarna...

Moja rana była na szczęście powierzchowna, choć długa na około dwadzieścia pięć centymetrów.

## **Epilog**

Długo z Marcinem zastanawialiśmy się nad tymi sprawami. Jedynym realnym wyjaśnieniem wydawała się nierealna, mało naukowa hipoteza o kocie – wampirze energetycznym. Kocie, który odradza się po śmierci i chorobie swoich poprzednich właścicieli jako mały i bezbronny, zaskarbiając ich uczucia. I jak to w życiu: oni obdarzają go wielką miłością, ciepłem i troską. A kot odpłaca się im czymś jak bardzo innym... Zabójczym...

W ciągu kilku tygodni rodzice Marcina w sposób niewytłumaczalny odmłodnieli, zniknęły objawy choroby. Gdy później z nim rozmawiałem dowiedziałem się, że zdecydują się chyba na kolejne zwierzątko w ich domu.

Mój były szef powiedział, że nie są w stanie wytrzymać bez kogoś, kim mogliby się opiekować, poświęcać czas i uwagę. Bardzo się tym zdenerwowałem. Już miałem powiedzieć, co o tym myślę, w głowie szykowałem mocne argumenty przeciw temu, gdy uprzedziwszy moje odezwanie się, usłyszałem od Marcina, że wybór jego rodziców padł na... świnkę morską.